M I E S I E C Z N I K   L I T E R A C K I

LUTY - MARZEC

1 9 4 3

S. I. WITKIEWICZ.

Czy wierzył w sens życia? Było ono dla niego udręką niewymowną. Demon i diabeł byli dla niego jaskrawo rzeczywistymi! Czy Bóg istniał jemu? Do końca życia wzbraniał się chyba uznać Jego władanie nad sobą. Tylko dobroć mieszkała w nim gołębia, zawsze obecna, nieodparta! Była ona niemniej jego geniuszem, jak wielka, płodna namiętność jego ducha i jego uparty, granitowy rozum.

Najcharakterystyczniejszym jego gestem był grymas! Wstrząsał on co chwila jego prawie że posągową, wilczą, ponurą powagą, towarzyszył jak samorodny błazen właściwej mu dostojności, mącił jakby kamieniem do wody wrzuconym nurt wielkich fal o szerokim oddechu, którymi płynęło jego życie duchowe; opryskiwał zimną wodą wciąż w nim wzbierające ciepłe przypływy dobroci. Wykrzywiał się, marszczył, rozdziawiał, chichotał, ryczał; zaprzeczał, ściągał z piedestału, ośmieszał, wyzywał, zrywał pozłotę, drwił, bluźnił, wyciągał podszewkę, ćwiartował. Wciąż szukał lepszego, nie dowierzał żadnemu słowu, póki go jak jabłka na krzyż nie przekroił. Posiadał najwspanialszą, aż opaczną namiętność prawdy. Ścigał ją prawie że z natręctwem, nie darowywał nigdy! Był niezdolny uczynić krzywdy nawet muszce, a pragnął nade wszystko dobra, w które wierzył, nie tak silnie jak w zło.

Takiż grymas marszczący powłokę piękna, by nie przemycało zwodniczych, łatwych prawd, takaż – przy każdym słowie obecna i nad wszystkim czuwająca – ironia, one stały się charakterystycznym piętnem jego twórczości artystycznej. Nie znajdzie w niej nikt nigdy niczego wykonanego po to, by było piękne, ładne, estetycznie kojące i przyjemne, harmonijne. Każdy z jego utworów był pisany dlatego, że cierpienie rozpierało autora i po to, by się widz dramatu, czy czytelnik powieści, głębiej cierpieć nauczył. W swej sztuce używał wszelkich środków i potęgował wszelkie sposoby, mogące doprowadzić do ujawnienia samego zła tego jak najokropniejszego, a zarazem najwspanialszego dramatu – zwanego rzeczywistością. Ukazywał widzowi istnienie, wstrząsając posadami samego istnienia. Dramaty jego są jak trzęsienie ziemi. Wiedział, że każde przeżywanie istnienia nie docierające do samej głębi i czeluści ludzkiego cierpienia, jest łatwizną i ślizganiem się po powierzchni. Zrywał więc z rzeczywistości tę złudną powłokę, po której miliony się poruszają pewne siebie i z siebie zadowolone, by w cierpieniu dramatu otwarło się człowiekowi okno na przepaść metafizyczną, nad którą stąpa on lekko – do człowieka tym samym nie podobny.

Dramaty Witkiewicza są metafizyczne. Straszliwość świata, który maluje, byłaby nie do zniesienia, gdyby się akcja w świecie realnym odbywała. Postaci jego dramatu stałyby się nierealne i monstrualne, gdyby żyły w świecie codziennym. W dramatach jego niema ludzi z namiętnościami i ideami, lecz idee i namiętności jak upiory owładnęły ludźmi bardziej rzeczywistymi, niż ci, którzy ciałem i duszą są wpleceni w realny bieg rzeczy. Jego metafizyczni ludzie są wpleceni w koło nie losu, lecz nemesis, metafizyki, nią łamani, są prawdziwiej ludźmi, bo łamie ich zagadka bytu i metafizyczne zło, a nie doczesny los. Świat realny w tych dramatach jest tylko osnową, charaktery psychologiczne tylko sposobnością dotarcia do charakterów absolutnych, z bytem, a nie ze światem się rozprawiających.

W tym znaczeniu i dzięki sferze, do której dotarł, Witkiewicz jest dramaturgiem z krwi i kości – z ducha raczej. I swoisty jest dlatego smutek jego dramatu. Jest to smutek drwiący, ironiczny, smutek na pograniczu cynizmu. W organizacji duchowej Witkiewicza nie było miejsca na smutek rzewny, na żal, na romantyzm smutku, na tęsknotę, która jest siostrą nadziei. Za smutkiem jego jak cień, deocząc mu na pięty, kroczy zwątpienie. Ale dramaty Witkiewicza nie są zwątpieniem i cynizmem, lecz widowiskiem najbardziej bohaterskich, nieubłaganych walk, w których prawda zawsze ginie, a nigdy się nie poddaje. Roi się w nich od trupów jak w dramatach Szekspira – od metafizycznych trupów.

Bohaterowie tych dramatów posiadają wszyscy tylko jedną namiętność, namiętność prawdy. Posiadają ją w dawce monstrualnej i genialnej. Poza tym - prawie że - nie posiadają serca /wyśmianego i chłostanego gdy się pojawi/ ale posiadają z prawdą, i sprzeczne, i z nią dziwnie sprzężone - namiętności. Namiętnościami ich i prawdą zarazem są: wiedza, kobieta, władza, potęga, przyszłość ludzkości, oraz /nie dobro, bo brak wiary w nie/. - wyśledzenie zła, fałszu, kłamstwa. Na walce z zakłamaniem, takiej jakiej świat nie widział, polega etyka tych dramatów; na arcyludzkim, najgłębszym, bo metafizycznym cierpieniu, ich tragizm. Namiętność jest imperatywem życia tych postaci, tragedia prawdy ich dramatem.

W utworach scenicznych Witkiewicza należy rozróżniać trzy płaszczyzny: zdeformowaną realną, groteskową i metafizyczną. Widz najbardziej naiwny widzi tylko platformę realną, anty-realistycznie przekształconą i dla niego chaotyczną - i nic z dramatu nie rozumie. Dla bystrzejszego obserwatora wysuwa się na pierwszy plan groteska, czy burleska, t.j. monstrualność postaci i języka dramatu i stąd wiedownia dramatu witkiewiczowego często ryczy śmiechem, ledwo przeczuwając tragedię. Platforma metafizyczna znajduje się w tym dramacie za dwoma przezroczystymi kotarami: za naturalistyczną i burleskową i przez nie sama istota rzeczy prześwieca dla oka i uszu tych, którzy czują dramat. Groteskowość widowiska wynika z potworności monstrualnej duchowej treści, która jest tak straszliwie ponura i przytłaczająca rozgrywającą się męką, że autor mógł ją na scenie ukazać tylko po przesunięciu w arealny, metafizyczny, a zarazem czysto estetyczny wymiar. Widziane poprzez medium pierwszych dwóch zasłon, tym samym złagodzone, nabierają krwawiące duszą postacie dramatu wyglądu groteskowych, prawie że marionetkowych figur i odwołują się do zmysłu humoru widza nie dopuszczając, by groza załamała estetyczne ramy dramatu, by widz nie pogrążył się i sam nie unicestwił w kataklizmie i jakby ostatecznym sądzie tragedii. Wszystkie dramaty Witkiewicza stają się w ten sposób równocześnie komediami, komediami w sensie najszlachetniejszym, molierowskim, którego komedie tragedią są w swej istocie, ukrytej za zasłoną komedii.

Witkiewicz w swej twórczości był bliski czasów, które nadeszły. Można by go nazwać ich prorokiem. Zanim zło wylało się z krateru historii i zalało Europę, słyszał jak gotuje się i bulgoce w ludzkich sercach i rejestrował wstrząsy, zwiastujące największe trzęsienie ziemi, w którym zapaść się musiała, na wielu kłamstwach zbudowana cywilizacja i kultura białego człowieka. Zwiastował te czasy tak jak to czyni artysta - ich wizją. Wystarczy przeczytać choćby powieść "Nienasycenie" i, poza wszystkimi innymi, jego ostatni dramat - "Szewcy", by widzieć jak dobrze znał współczesną ludzkość i doskonale widział do czego już doszła. We wrześniu 1939 roku zginął sam swe życie przecinając w miejscowości kresowej, leżącej na ówczesnej linii demarkacyjnej dwóch rozszalałych niszczących żywiołów hitleryzmu i bolszewizmu. Świadomość zła skupiła się cała w jego niewierzącej duszy, w jego prawym sercu - i powaliła go.

Dzieło artystyczne życiowe Witkiewicza, jego dramat, nie jest "budującym" dziełem. Gardził optymizmem a zbratał się z cierpieniem. Był w zakresie dramatu tym, czym Baudelaire w liryce: dał wzniosłe świadectwo złej,, męczącej się istocie człowieka! Szukał prawdy tak gorąco, tak bezwzględnie, że prawda stała się wielkością, swoistą pięknością jego dzieła. Stworzył nowy, swój własny, doskonały język artystyczny, bo zmuszał postacie swego dramatu do mówienia bezwzględnej prawdy. Był to człowiek, który nigdy nie skłamał - nawet sam sobie. I stąd ten grymas, ta ironia, będąca jego wielkością i jego samoudręczeniem: byle nigdy nie przemycić nieprawdy!

Bratał się może z samym diabłem, by wydrzeć Bogu prawdę! Ale jeżeli sztuka jego jest demoniczna, to nigdy nie jest zła i przewrotna.

Nie było w nim nawet śladu pychy. Znajdował się w drodze, poprzez cierpienie ku prawdzie, i po tej drodze prowadzi każdy jego dramat.

Tylko z wielkiego cierpienia, z dogłębnej świadomości zła, może się odrodzić człowiek w coraz to głębszym człowieczeństwie. Żaden z bohaterów jego dramatu nie jest jednak modelem, wzorem, ideałem, zwycięzcą zła.

Dramat nie jest budującym kazaniem, lecz wytrącaniem człowieka z orbity jego małodusznej wygody, postawieniem go wprost przed oblicze właściwego, metafizycznego - a straszliwego w swym ogromie - zadania ostatecznego. Prawdziwy dramat chłoszcze optymizm, by stać się podwaliną dobroci, próbą męstwa i zapowiedzią lepszego człowieka. Dramat - z gatunku wielkich - niszczy spoczynek, jest zaprzeczeniem sytości ducha, który przestał łaknąć prawdy, karmiąc się - niby to dostatecznymi dla wyżycia - zapasami mądrości, zamiast jedynie sycącym, a wieczny głód podsycającym ogromem bytu. Dramat Witkiewicza jest zaprzeczeniem filisterskiego dostatku, jest dobrowolnym skazaniem ducha na wędrującą po stepach bytu, kresu swego nie znającą bezdomność, przystani ostatecznej szukającą. Dramat Witkiewicza nie dociera do mądrości pewnej siebie, do już uszczęśliwionej dobroci. Naprowadza na bardzo długą, wieczną, skalistą i zawrotną drogę ku prawdziwemu człowiekowi. Kroczy drogą najboleśniejszego zaprzeczenia, ale jest na właściwej drodze.

W dniu 24.111.b.r. odszedł od nas
ś.p.KAROL LUDWIK KONINSKI

Wieloletnia i ciężka choroba nie zdołała zmóc niespożytych sił duchowych zmarłego pisarza, który mimo cierpień fizycznych zachował nieugiętą postawę moralną w swojej twórczości stając się dla całego społeczeństwa polskiego wzorem etycznego hartu wobec zagadnień i objawów życia narodowego i ogólnoludzkiego. Ten wysoki poziom duchowy, połączony z głęboką wiedzą i niezwyczajnie surową dyscypliną wewnętrzną czynił zeń najwyższy typ pisarza - sumienia narodowego. My, którzy szukaliśmy często u niego rady w chwilach zwątpienia, znajdowaliśmy zawsze braterskie przyjęcie, zrozumienie i ostateczne rozstrzygnięcie naszych wątpliwości, żegnamy Go szczerym żalem, że nie stanie z nami w szeregu w walce o Nową Polskę.

Literatura a naród.

Problem literatury narodowej, a raczej problem: literatura a naród, problem związków łączących literaturę z losem narodu i wymagań stawianych przez naród twórcom literatury - problem nie nowy, przeciwnie tak dawny jak świadomość krytyczna i refleksja nad dziełem literackim, jego sensem i funkcją społeczną - problem ten i teraz nie stracił aktualności, mimo pozornego milczenia literatury. I zapewne, w wolnej, powojennej Polsce, będzie on jednym z pierwszych na terenie kultury, wobec którego trzeba będzie zająć wyraźną postawę.

Zresztą warto przypomnieć, że ostatnia większa dyskusja literacka Polski międzywojennej tego właśnie problemu dotyczyła. Mamy na myśli głośne w owym gorącym lecie 1939 roku, spory wszczęte artykułem "Czekamy" w "Polsce Zbrojnej".

Do tego zerwanego wątku kultury trzeba będzie po wojnie nawiązać, ale nie poto by dawać takie same na postawione pytania odpowiedzi, jakie dawano przed wojną. Bo choć pytanie będzie brzmieć tak samo, inny będzie mieć sens i inna będzie w nowych warunkach odpowiedź. O tyle oczywiście, o ile te nowe warunki dziś przewidzieć /bez pewności, ale z niejakim prawdopodobieństwem/ możemy, to jest o ile nieodgadniona bliska przyszłość polityczna, która dzieli nas od chwili odzyskania wolności, nie zmieni istniejącej dziś koniunktury duchowej.

Jeśli jednak ta koniuktura nie ulegnie zasadniczej zmianie, to trzeba tu podkreślić pewną ogromną różnicę między tą przyszłą niepodległością, a tą która przypadła nam w udziale po 1-szej wojnie światowej. Faktem jest bowiem niewątpliwym, że literatura, która po tej 1-szej wojnie zaczęła się krystalizować czy to nad brzegami Skamandra, czy też w ugrupowaniach awangardy, nie miała w gruncie rzeczy żadnego z życiem narodu związku, zasklepiając się całkowicie w kapliczce poszukiwań formalnych, a ideowo zadawalając się - tu: jakimś indywidualistycznym witalizmem /exemplum: Wierzyński/, - tam zaś, romantycznym kultem masy i maszyny, kultem o pozorach uniwersalizmu społecznego, źle maskujących istotny, aspołeczny indywidualizm.

Otóż po tej wojnie będzie inaczej. Ta rzecz zdaje się nie ulegać dziś wątpliwości. Nie wchodząc w przyczyny tego stanu rzeczy, stwierdzić trzeba, że naród polski z wojny i niewoli wyjdzie rozwinięty i pogłębiony, że się zacieśni wspólnota narodowa, a pogłębi świadomość, że los jednostki jest nierozłącznie związany z losem narodu, że w gruncie rzeczy te dwa losy się pokrywają. Otóż zjawisko to musi się odbić w literaturze. I tak jak odbija się już dziś, w tej literaturze która narasta wbrew maksymie "inter arma silent musae", tak odbijać się będzie niewątpliwie w tym wszystkim co w pierwszych latach naszej niepodległości powstanie.

Będzie ta literatura obrazować przeżycia czasu wojny i niewoli, będzie szukać sensu tych przeżyć, będzie dociekać jakie były przyczyny prawdziwe i jaka jest celowość tych wszystkich klęsk, ciężarów, cierpień, łez i poświęceń. Literatura ta odrzuci lwią część tradycji 20-lecia międzywojennego i ponad nim przerzuci most do wielkiej literatury romantycznej i poromantycznej i na te same pytania co tamta będzie szukać odpowiedzi. Ale odpowiedzi powinny być odmienne. Nie dlatego, że już raz zostały dane. Że nowa odpowiedź, jeśli ma być potrzebna, jeśli ma być wartością, musi zawsze sięgać głębiej, zawsze nowej, wnikliwszej, lepiej do istoty rzeczy docierającej musi szukać formuły.

A na planie krytycznym, na planie teorii, ta odpowiedź będzie na pierwszy rzut oka niezgodna z odpowiedzią romantyczną. Będzie ona w stosunku do owej oczekiwanej fali literatury o tematyce wyraźnie narodowej raczej pewnym hamulcem, raczej oporem niż aprobatą czy zachętą.

Wyjaśni nam tę sprawę rozważanie problemu zgodności czy też pokrywanie się losu jednostki z losem narodu. Rozstrzygając ten problem, romantyzm kładł nacisk na los narodu. Romantyzm nie uzgadniał

praktycznie interesów jednostki i zbiorowości /bo zresztą, przy swoich założeniach ideowych, uzgodnić ich nie mógł/ ale kładł akcent na zbiorowość, na poświęcenie, podporządkowanie swoich interesów zbiorowości, w naszym wypadku zbiorowości narodowej. Zresztą, takie właśnie stanowisko jest historycznie łatwe do zrozumienia, jest w pewnej mierze uwarunkowane niewolą, faktem szalonego indywidualizmu, nieuspołecznienia i niedojrzałości politycznej świadomej części narodu, a przedewszystkiem faktem, że świadomość narodowa, jako pewna świadomość powszechna całego narodu, była dopiero do stworzenia. By tą świadomość stworzyć, trzeba było widocznie tak właśnie rozłożyć akcenty jak to uczynił romantyzm.

Ale dziś sytuacja jest całkiem inna. Wprawdzie dojrzałość polityczna narodu polskiego wiele jeszcze pozostawia do życzenia, a pewne nawyki indywidualistyczne głęboko wniknęły w nasz narodowy charakter, ale świadomość narodowa jest niewątpliwie powszechna i tak głęboka, że wytrzymuje porównanie z którymkolwiek narodów europejskich.

Dlatego też odpowiedź na pytanie o stosunek literatury do narodu, nie może jako punktu wyjścia używać, tak jak romantyzm, świeżo odkrytej świadomości istnienia narodu i jego pewnej nadrzędności w stosunku do jednostki, ale jeśli jak mówiliśmy, odpowiedź ma być nowa i głębsza - musi się opierać na nowej dziś świadomości tego, czym jest naród.

I tu właśnie zaznaczy się pewne przesunięcie akcentów w stosunku do romantyzmu. Z tym bowiem pogłębieniem wspólnoty narodowej musi koniecznie iść w parze pogłębienie świadomości : czym jest naród. Że więzy krwi, język, tradycja, religia, historia - to wszystko są elementy tworzące naród, ale że nie wszystkie są niezbędne i że nie one naród stanowią. Że istotą narodu jest, w gruncie rzeczy, kultura, ale nie ta kultura istniejąca w postaci obiektywnych wytworów, ale kultura jako pewne tak zewnętrzne jak i wewnętrzne ukształtowanie człowieka, jako ubyczaj. Obyczaj - w jaknajszerszym tego słowa znaczeniu, przedewszystkim pojęty jako obyczaj duchowy, jako wewnętrzny kształt osobowości - jest istotą narodu.

A z tego kapitalnego dla naszych wywodów stwierdzenia, wypływa drugie, niemniej ważne. Oto naród nie istnieje /w najgłębszym, filozoficznym, ściślej metafizycznym słowa "istnieć" znaczeniu/ jako jakaś rzeczywistość odrębna, niezależna, samodzielna w stosunku do jednostki. Naród istnieje w swoich członkach, w tobie i we mnie, jako twój i mój obyczaj. W tej mierze w jakiej te obyczaje konkretnych jednostek w skład narodu wchodzących przejawiają pewne cechy wspólne, w tej mierze istnieje naród. To też naród istnieje ze względu na jednostkę. Nie negujemy tu bynajmniej ani pewnej faktycznej odrębności interesu narodowego w stosunku do interesów jednostkowych, ani też faktycznej nadrzędności tego interesu narodowego, ani też wreszcie istnienia pewnej konkretnej, odmiennej dla każdego narodu misji dziejowej, ale chodzi o to, że są one podporządkowane najwyższym interesom jednostki, że służą osobie i jej powołaniu do rozwoju.

Naród jest dla jednostki, służy osobie, a więc jeżeli jednostka podporządkowuje się narodowi i uznaje jego nadrzędność, to robi to, w ostatecznej instancji, w swoim własnym, osobistym, jednostkowym interesie, robi to dlatego, że naród, że obyczaj narodowy jest dla niej, dla jej powołania i rozwoju niezbędny.

To też jeśli całkowite, praktyczne uzgodnienie interesu jednostki z interesem narodu, jest metą do której należy dążyć, ale metą nieosiągalną wobec niedoskonałości natury ludzkiej, to jednak pewne uzgodnienie tych napozór sprzecznych interesów, a zwłaszcza ciągłe ich uzgadnianie jest osiągalne i niezbędne. Właśnie zasadniczym krokiem na tej drodze jest owo w mowie będące przesunięcie akcentu.

Przerzućmy te rozważania, w największym skrócie, na odcinek literatury, a dojdziemy do takiego wniosku: o tym czy dana literatura jest narodowa, czy nie, nie decyduje temat. Jeżeli dzieło literackie o problematyce "narodowej", nie dociera do istotnych spraw ludzkich,

należy do literatury narodowej. I odwrotnie, temat może być nazbór zupełnie ze sprawami narodu niezwiązany, jeśli jednak autor stawia prawdziwe problemy ludzkie i szuka ich rozwiązania, jeśli widzi te problemy w żywym, konkretnym, a więc narodowym kształcie,/bo ostatecznie naród jest konkretnym "sposobem" istnienia ludzkości, a obyczaj narodowy konkretną formą obyczaju ludzkiego/, to literatura ta będzie narodowa.

A zarazem będzie międzynarodowa,ogólnoludzka. Bo literatura między narodowa nie powstaje z jakiejś tendencji kosmopolitycznej, zacierającej odrębności narodowe. Powstaje poprzez naród. Szekspir i Dante należą do całego świata, dlatego, że należą przedewszystkim do swoich narodów,że ściśle czerpią obficie z historii swych narodów, to po to by w te narodowe kształty wcielone, pobierać pewne niezmienne, ogólnoludzkie problemy.

Więc ostateczne wiązanie literatury z narodem, nie mieści się w sferze konkretnego dzieła literackiego, lecz głębiej' w osobowości twórcy.Jeśli twórca będzie naprawdę"zakorzeniony" w swym narodzie i zrośnięty z jego sprawami /jako ze swojemi sprawami/ to dzieło jego będzie narodowe - i ogólnoludzkie zarazem, o czymkolwiek by pisał. Jeśli zaś ten warunek nie będzie spełniony, to nie pomoże temat,ani problem, ani forma.Stworzone dzieło nie tylko nie będzie literaturą narodową, ale wogóle nie będzie literaturą, bo nie będzie spełniać zasadniczej funkcji społecznej literatury.

\+ \+
\+

Wieś Złota Woda jest pod Łagowem,
jaszczurki szumią,gdy poschną dęby,
i koń pozłaca o liść podkowę,
wrzos się nie mieści w szrankach poręby,
chata jaśniejsza od chmur na rzece
mówi co wieczór: uśnij,odlecę !

Lot cię oduczy pragnąć za wiele
bo da ci wszystko/śpij,odlatuję !/:
górę pod słońcem,cis przy kościele,
kuźnię u źródła,nikt w niej nie kuje,
pękło kowadło,pęd z lilij trójcy
przebił je niby grób samobójcy.

B A L L A D A   O   P I E C H U R Z E.

ŚWIT.

Marsz. Marsz.

Nieprzytomnie mijamy obojętne sady,
chałupy w czarnej zieleni zdziczałych bzów.
Koguty po trzykroć pieją,wietrząc pożar i zdradę.
Gromada grusz nad drogą wdziera się na dno snu
jak wiatraki,których skrzydła dech równy naciska
i skrzypią,cień ogromny kładąc na ściernisko.

Nad nami chmura oddechów.Świecą sinawe plamy,
odblask trującym jadem hełm powleka.Gną się konary bark
- tornister - a w nim buława i para skrzydeł spętanych,
jak ty św.Krzysztofie dźwigamy natchniony garb !
Wonie nagrzanej skóry,rzemienie stroczone i koce,
do warg spragnionych pot spływa
- w gąbce podany ocet.

Chwała rozumnej męce ! Rodzinne o świcie miasto
mijane marszem pospiesznym. I nie wychyla się nikt,
w szybach podwodny spokój,powiew kołysze jak piastun,
o ramię karabin oparty,dłoń czarnego anioła
- popycha ku polom bitw.
Śnijcie ! Powoli w szczelinie ulic przepada rytm i pochód
i tylko na gzymsie gołębie wołają o ziarnka grochu.

Posągi na placach zawisło,wicher przebiega rwąc,
unosi burzę peleryn,fałdy marmuru i bronz.
Czoła w porannym szronie.Błogosław wizjo historii
W kręgu milczących wież ! Na blachach puszysta śniedź,
czasu zielony kożuch.W ten świat kamienny nas porwij,
nim oddech nasz się roztopi w łubinów sennym morzu.

Rozstąpia się fale łubinów, ostygło światło gromniczne,
nad nami jak przyszłość grozi gradowa chmura,
w drutach dmie wiatr we flety,deszczu nadchodzą bicze,
i nagle rysują się baszty,pęknięcia w blankach i murach.
I kurz nam włosy pudruje,kurz z niebieskiego Jerycha.
Człapią konie.Deszcz,deszcz poranny nadbiega cicho.

Deszcz.Ściekasz powoli po twarzach garścią zbytecznych łez.
Czwórka za czwórką się chyli w bezmiar splątanych dróg,
jednaki rytm nas kołysze,pieśń i rynsztunku chrzest,
jeszcze raz miłość ojczyzny przemierzyć mozołem nóg.

KUSZENIE.

1.

Czarny Anioł:

Wydany szyderstwu żywiołów, naco próbujesz oporu?
zbudzone szczęka żelazo i grozi poomacku,
samotny się nie ostoisz, gwiazdo wydarta z torów.
Słuchaj, o świecie nieczystym bojowe powraca ptactwo,
ramiona w las się rozrosły i nie buntuje się nikt,
choć losy jego zależą od retort, ksiąg i cyfr.

Ciałami porusza przypływ. Piersią o piasek biją.
Z wieńcem blaszanych laurów ku nim podbiegasz
chwało !
Tłumy, tłumy się kładą i pokolenie przemija
jak garść oklasków witając - błyski wystrzałów.
Dumni ze swoich pęt, posłuchaj niewolników,
pochwyć ogniwo łańcucha i ramię uparte przykuj !

Na twarzach grymas kariatyd, stal się z mięśniami
splata,
wyżej i wyżej dźwigają gałęzie rusztowaniom,
tu wierność tylko wystarczy, myśl już odpadła
zetlała
i tak na szczycie lodowym - ja szumię - Czarny Anioł.
Usta im śpiewem broczą, torsy rytmicznie się
chylą
- pod niebem wzgardliwym wznosimy -
Stolicę Pychy - Babilon !

Patrz. Niebem zawładnęła moja żelazna jazda.
Patrz. Choć jedni butwieją we wrzosach, ilu już
nowych nadbiegło,
płoną słowiańskie strzechy, depczemy gliniane gniazda...
Powierz się moim skrzydłom, na mur cię złożę cegłą!
Stąpam po bruku hełmów i w przyszłość patrzę jak
w okno,
ucałuj, stopę prawą. Oddaj mi pokłon.

Piechur :

Trzepocze mi w piersiach ...

Czarny Anioł :

Wiem, krew tłoczona w rurkach kruchych ...

Piechur :

Nie, to sztandar łopoce zwinięty !
Zostanę tej ziemi wierny.
Gną się kolana mocarzy i rdza miecze szczerbi.
Na gruzach ciemności jak płomień
będzie powiewał zatknięty !

2.

Anioł Czerwony :

Rumaki spienione smagam,jam głosem samozwańców.
W kamienne źrenice wodzów kurzawę rudą miotam
i kiedy koń przysiada wśród lawet strzaskanych
na szańcu,
cień mój jak zmorę zcierają z dumnie wzniesionych
czół.
Grady spadają na bęben i ławą rusza piechota,
z moim wyklętym imieniem - stacza się w dół.

Kim jestem ? Pamiętasz w stronę Warennes.Nocą.
Milczący szpaler topól.Gnamy na oślep.
Noc jest o szyby oparta.Światła zgaszone.Karoca.
I ja na koźle.
Słyszałem, o piach się darła gałąź zatknięta
za szprychę,
Gdy dłoń obnażona z pierścieniami sygnał podała
- "w konie" !
Skórzaną rękawicą szyderczy stłumiłem chichot
- ja jeden wiedziałem gdzie dudnią
- ku nam idące pogonie.

Kim jestem ?
Dymy się sączą smugami,gęstnieją w trującą mgłę.
Po nocy,salwa za salwą,gadają forty,
a niebem mknie jeźdzców czterech.Poznajesz moją
eskortę ?
Wołają wzniesione kopyta - Verdun. Verdun.
Pamiętasz wschód.
Ztrzaskiem wywalam okno gdzie obraduje sztab.
Wśród zbladłych feldmarszałków niedbałą stopą
roztrącam arkusze map.
Ja,Anioł w zawszonym szynelu
rzuciłem ogień płucom !
Odetchnął tłum.
I łamałem się z nimi chlebem i rewolucją !
Słuchaj jak dęby się trwożą, na piersiach im szumi bluszcz.
Ziarno rozsiewam wichury i zbieram żniwo burz !
Ja jestem wieczny mąciciel.W blasku pożarów
jęk konających, kwik koni - oto muzyka,
u stóp mych orężna rzeka w świat się wylewa
jak w parów.
Należysz do mnie, boś lufę o skraje opierał barykad !

Piechur .

Poznaję cię.
Głowy zwalone w kurzu, ślina się sączy,
włosy na czoło nawisłe, strąki zlepione krwią,
a w szparze przymkniętych oczu
próchna wielkości się tlą.
Szklista dogasa iskra.

Zgadnij co noszę w ładownicy,
na czym spoczęła ręka ?

Anioł Czerwony :

Na pociskach !

Piechur :

Nie. Na kłosach pszenicznych.
Oto przepadasz w dymach
po ziemi się tłukących. Ja sięgam dalej.
Widzę ocean zbóż. Klonią się kłosy zroszone,
łany się chylą bezmierne ...
Odejdź ! Tej ziemi zostanę wierny.

3.

Ja jestem Anioł Polny, chodź ze mną !
I poszli dotrzymał mu kroku.
W wieczorów szli niezliczoność, w zachodów
gorycz i ciemność

Jak fala miękko pod stopy kładła się ziemia.
I skrzydłem co najzieleńszym Anioł go ocieniał.
Ileż to razy w walce umierał Piechur,
Anioł schylony klęczał,
krwi sercu brakowało jak piersiom oddechu,
modlił się Anioł szlochając, a w łzach łamała się
tęcza.

I szli dalej.

Ileż to zmagań zwycięskich, ile dzielili klęsk ?
Aż raz legli biwakiem. Z manierek zaczęto pić.
I dziwili towarzysze przy ogniu trzeszczącym
we mgle,

ze zwierzeń jego szydzili, że o Aniele śni
I zawstydził się Piechur i głęboko zadumał ...
Nie wiedział, że właśnie w tej chwili
Anioł mu w piersi umarł.

I myślał Piechur - " Czyżbym powierzył się brzozie ?"
Dobył bagnetu - inicjał i serce wyrył na korze.

Była cisza nieziemska. Była cisza muzyczna.
I jeden liść się osunął, o wargi dzwoniąc,
jak pociągnięcie smyczka.

III.

ŚMIERĆ PIECHURA.

Rzęsy ciężkie od gwiazd senny powoli otwierał
i dziwił się Piechur ogromnie, że już umiera.

Miłością wrośnięci w glebę, a ramionami w błękit,
śpiewamy, w burzę igliwia biorąc oddech przestworzy.
Krew nasza wonna i lepka pod korą złotawą tętni,
już może jutro śmierć nas przy tobie w trawach ułoży.
Jak topór księżyc grozi i drwali zuchwała strofa.
Z hardym czekamy czołem, bo drzewo się nie cofa.

W nas się twe życie rozpina. Drogi twe nam są
odkryte.
Matka cię jeszcze osłania ciepłem własnego ciała.
Mapę nieznanych krain na dłoni masz wyrytą,
wydzierasz się na podboje,poza zdeptany próg.
W gałęzie ciskasz okrzyki. Pod chmurą wznosisz
szałas
I krwi się każda kropelka junactwem świeci jak
głóg.

Lata.Lata padają.Bieg dni pospieszny znasz.
Poranne deszcze cichną.Wstają burzliwe zachody.
Z jednakim zdumieniem oglądasz odbitą twarz
między obłokiem i trzciną, w zmarszczkach ciekącej
wody.
O pochwycone wargi ! Okruch słodyczy.
Miłości ! Nadmiar cierpienia.
A rok każdy godziny jak strzały w kołczanie liczy.

I każda trafia.

Matka kołysze.Noc pojaśniała.Przedświt.
Siwo od mgły.
Przytul się bliżej,nie płacz,zapomnij,prześnij
- w glinianą podłogę stuka kolebki biegun.
I któż usłyszy w nim
młotka niedbały rytm
i milczenie wiecznego noclegu ?

Oto jest tajemnica.Gdy krzyk w kołysce rozkwita,
umieć z czołem pogodnym w cudzie narodzin
ukrytą śmierć nową powitać.
Gdy wargi zaciśnięte chciwość rozchyla korzeni,
nie giniesz, z prochu powstały.
Ku nowym światom będziecie odchodzić
z życia jak ze snu obudzeni.

Zdyszane lata odpadły.Wieków spiętrzony bieg.
Cień twój w cieniach gałęzi będzie się kłaść,
pod karkiem zaszeleści wiórów żywiczna garść
i cisza jak zaspana nawisa. Chłód i śnieg.

Nie, Nieprawda ! Życie nowe wytryska
na starej porębie z zapadłych mogił,
Gałąź się świeża płucze w strumieniach wiatru,
i w tych zielonych listkach
znaków się prawdy dopatruj !

Czekamy spokojnie - niech się dopełnią wyroki.
W rzęsistym świegocie ptaków pień się osuwa
podcięty.
Trzeszczą konary. W piach i torf zaryci gałęziami
po trzykroć wzywamy cię ziemio
- módl się za nami !

Słyszysz !
Już z pnia, z karczowiska
soki pulsują i liść pierwszy
w zachodzie zaświeci jak iskra.
I cały las wybucha wdzięcznością, szumem i śpiewem.
Bądź pozdrowiony bracie
- i tyś jest drzewem !

Piechur powoli usypiał z twarzą otwartą ku niebu,
a nad drzewami zawisł gwiazd spadający niewód.

IV.

BAŚŃ O PIECHURZE.

Jeszcze fałdy dłonią zwiędłą przygładź...
Do kolan rękawy się tulą, rękawy puste,
błyska w zadymionym wieczorze włos siwy matko, igła
nawleka łzę samotną. Syneczku jak cię ustrzec ?
Polano pod blachą zapiszczy. Lampę zapali się wnet.
Zastygasz, palce zziębnięte grzejąc o kotki grzbiet.

Ktoś przecież zginąć musiał. Ale dlaczego ty ?
Wiatr o szybę zabrzęknął, ktoś się za oknem roześmiał.
Wiatr i harmonia skuczy pod wieczór na przedmieściach
jak stęsknione za izbą psy.
Tak trudno pojąć, uwierzyć, gdy zachód się chmurzy,
to jak wczoraj śpiewali przed nocą
w ciemność odchodzący piechurzy.

Bajki chcesz synku ? Baśń ci prawdziwą opowiem
o tych co już odeszli, o bracie starszym...
Cień hełmu na oczy opadł snem cięższym od ołowiu
i śpi jesienią okryty, rdzą poplamionym płaszczem.
Milczy, czeka głosu Anioła,
który go z śmierci jak z klęczek podniesie
i w życie nowe wywoła.

Wszyscy ku tobie zdążamy nasza niebieska ojczyzno !
Więc idziesz przez pajęczyną siwe spętane badyle,
srebrzysty deszcz z obłoku żółtego bryznął,
krople w ścierniska spadając przeszyły cię na wylot.
A wiatr powoli odwraca za krajobrazem krajobraz,
gałązce dzikiego wina, co mur jak troska oplata,
szepczesz - bądź zdrowa.

Stopę co grzęźnie w błękicie unosisz z trudem,
w grzywach pastuszych ogni o słowa pożegnania...
Spod dachów dziurawej jesieni, ze snu dobyty
marudor
w niebo zachodzisz powoli, gdzie gwiazda
samotna się słania.
Jeszcze i w twoją stronę wiatr śpiewne porywa
okrzyki,
słyszysz,zanurzony w wieczorze żuraw
studzienny skrzypi.

Słyszysz ?
Dziobami gasząc mlecze stada perliczek
się złoszczą
i szklana kula przedrzeźnia
jesień w ogrodzie proboszcza.
Twarz matki w ostatku światła zatapia okno.
Na kolanach kurtę palce zziębnięte mną,
jak w mundur na piersiach wplątane,
próżno wołają - nie odchodź !
Dla niego już ziemia liściem,
liściem zgryzionym rdzą.

Stoły i płyty grobowe jednako wiatr z liści
wymiata.
Nim się przygarnąć zdążymy,
zmuszasz nas chwilo porzucać !
Już się przedmieścia ocknęły pękami latarń.
Syneczku,dalej nie wiem...
Tak zadumany trwasz...
Ten wiatr co w nas zamieszkał,
co nam rozsadza płuca
tęsknotą nieuciszoną
- popycha, wołając -
marsz,marsz...

CHOINKA.

Dziadzio poruszył się niespokojnie na krześle. Od kuchni dochodził głos Elżbiety i stuk tłuczonej w moździerzu zeschniętej bułki . Potem to wszystko mieszało się z hałasem otwieranych drzwi, przytupywaniem i jakimiś nowymi dźwiękami,które narazie trudno było rozpoznać. Za oknami rosła noc, śnieżna, skupiona w sobie i gęsta,że kiedy uchylić zasłony zaciemnienia docierało się odrazu do dna białości i ginęło się o parę kroków od domu. Padający śnieg niszczył głębię obrazu, otulał, stwarzał nowy świat,nawierzchnię życia.

Teraz dziadzio złożył starannie okulary na książce i powędrował do sąsiedniego pokoju. Musiała upłynąć dobra chwila nim oczy przyzwyczaiły się do ciemności. Na fotelu podsuniętym pod okno klęczał Piotruś,pięstkami podpierając brodę. Kiedy starzec ogarnął go ramieniem, podniósł głowę i ciche dziecięce westchnienie dało znać, że przerwano mu marzenie wybiegające poza kółko parą z ust uwolnionej szyby.

- Biało,Piotrusiu! - dziadek przygładził mu nastroszone włosy. W tej chwili wydało mu się,że popełnił grzech zostawiając to dziecko w pokoju,sam porwany zajmującą historią z dzikiego zachodu.Syn przyjdzie napewno na kilka minut przed wieczerzą wigilijną, żona jego robi z niczego coś, aby przynajmniej w tej wieczerzy powrócić do lat z przed wojny. Wszyscy mają huk spraw do załatwienia, on sam już nakrył stół,ścieląc cienko siano pod obrusem, poznosił łyżki i widelce, na talerzyku przykrytym serwetką umieścił opłatki. Nikt nie ma czasu, aby zajmować się dzieckiem. Gdyby przynajmniej Piotruś dopominał się o towarzystwo, o zabawę, ale przepadając w pokoju tymbardziej dawał zapomnieć o sobie. Dziadzio rozumiał to dobrze i oskarżał się jeszcze goręcej,przytulając go do siebie.

- Dziadziu, a kiedy tatuś przyjdzie ? - jedna z drobnych rąk zatrzymała się na rękawie dziadka.

- Zaraz,kotusiu, za chwilkę - dziadek usiadł i posadził malca na kolanach - tatuś przyjdzie,błyśnie pierwsza gwiazdka na niebie będziemy śpiewali kolędy. A może już zapomniałeś śpiewać kolędy? - wąsy

dziadzia nastroszyły się w udanej srogości.

Piotruś zaczął cienkim głosikiem :

- W żłobie leży, któż pobieży....

Zaraz wpadł w melodię dziadzio, basem podtrzymał nieśmiało tony dziecka. Kiedy skończyli, Piotruś wsparł głowę o ramię dziadka który go huśtał do taktu na kolanie.

- Ale to będzie ładniej, jak będzie choinka, prawda dziadziu ?

- Zapalimy świeczki...

- Prawda, świeczki, - klasnął w rączki - zapomniałem. Ale czy tatuś nie zapomni o świeczkach.

- Gdzieżby mógł zapomnieć. Obiecał ci przynieść drzewko, to ma się rozumieć dostaniesz i świeczki.

- Co jeszcze dziadziu ? - Piotruś zarzucił ręce na szyję dziadka - co jeszcze, powiedz...

Dziadek mówiąc, począł stukać palcem w czoło wnuka :

- Będą wisiały kolorowe bańki, będzie aniołek...

- Aniołek ! Z waty ?

- Pewnie, że z waty, twój aniołek stróż jest przy tobie, nie można go wieszać na drzewku.

- A diabeł, dziadziu ?

- Powiesimy i diabła, pamiętasz z czerwonej bibuły...

- Pamiętam, niema jednego rożka, bo pobódł się z kozą. Tak mi mówiłeś ...

- Tak, tak. Diabeł, to straszny zabijaka, z wszystkimi się bije. Trzeba go będzie umieścić zdala od aniołka. Potem damy włosy anielski

Małemu coraz silniej biło serce z zachwytu. Dziadek czuł, że wystąpiły mu wypieki na policzkach, że teraz największym jego pragnieniem jest ta choinka, wycięta gdzieś w lesie, zwiastun dziecinnego szczęścia.

I kiedy puszczał go z ramion, bo Elżbieta z kuchni wołała sy parę niemęskich łez zatrzymało się przy wąsach. Szybko starł je. - To jest właściwie jedyna radosna rzecz, którą możemy dać jeszcze dz ciom - myślał - w tych czasach smutku i niepokoju. To co się dział

wokół doznawał tym tragiczniej, że będąc dobrym Polakiem, wychował się i pracował pod Austryjakami, których uważał za Niemców i nawskróś porządnych ludzi. Dziś oni, czy ich potomkowie zabijali go, z dnia na dzień, gdy odczytywał nieznaczne nekrologi pod kościołami.

Piotruś wracał balansując rękami i buchnął mu prosto w objęcia. Zaraz zaczął mu wpychać w usta rodzynek.

Dziadek pożarł go, mlaskając głośno, i udawał, że mu ogromnie smakuje. Malec cieszył się, podskakując między rozstawionymi nogami starca. Przez szparę uchylonych drzwi wąskie pasmo światła przecinało pokój naukoś.

- I co dalej, dziadziu ? - sadowił się bez zaproszenia na kolano - włosy anielskie i Misia damy na choinkę.

Porembski obejrzał się ostatni raz i wpadł do bramy. Kilkoma skokami znalazł się na drugim piętrze. Nerwowo dzwonił. Otworzyła Elżbieta i powróciła zaraz do kuchni. Rozbierał się, rzucając płaszcz, kapelusz i rękawiczki na stolik w przedpokoju. Tutaj dopiero mógł się zastanowić nad całą sprawą. Tak, Wysocki popełnił błąd, który ich zgubił. Właściwie są już na ich tropie. Jemu udało się ujść jakimś dziwnym trafem. Był przekonany, że Wysocki, Wyszomirski i Bajorek wzięci. Pięknie byłoby się bronić. Ale oni nie głupi. Czekali aż wyjdą, ażeby każdego ująć osobno. Nie popełniają tych błędów co w Warszawie. Wyciągnął z pod kamizelki gazetkę, jeszcze mokrą od druku. Nie zdążył jej nigdzie zniszczyć, zajęty jedynie myślą o kluczeniu. Po drodze musiał rzucić za parkan drzewko, które kupił dla Piotrusia, bo tym demaskowałby się na ulicach, lecz o namacalnym dowodzie swej pracy nie pomyślał. Teraz z żalem skierował się do kuchni i nie zwracając uwagi na żonę, wsunął gazetkę pod blachę. Papier skręcił się nagle i jasno zapłonął.

- Znowuś tam był ? - Elżbieta pytała pełna lęku.

- Musiałem, moja droga, ostatni raz, trzeba było pokazać młodym jak się to robi. Od dzisiaj oni...

- Wzruszyła ramionami. Nie chciała mu powiedzieć, że przez tą swoją robotę niema czasu na nic, a ta nędzna biurowa pensja wystarcza, jak sam wie na kilo masła. To i tak nie przemówiłoby mu do przekonania, a za chwilę wilia, Bóg się rodzi, opłatek gładzi nierówność pomiędzy ludźmi.

- Idź, umyj się, będziemy siadać do wilii.

Kiedy pochylony nad miednicą, zgarniał dłonią mydło z twarzy zapytała:

- A gdzie choinka dla Piotra ?

Zatrzymał się z rękami w wodzie. Najchętniej wyjawiłby jej całą prawdę. Nigdy nie było między nimi żadnych niedomówień i tajemnic. Życie ich proste i bez komplikacji opierało się na szczerości i wysiłku wzajemnego zrozumienia. Nieraz opowiadał jej o swych stanach pełnych ambicji męskich, niewyżyciu, które mężczyzna tak szczelnie przechowuje tylko dla siebie. Opowiedziałby jej o Wysockim, tym młodym zapaleńcze dla którego sprawa była jedynym motorem życia, wśród niepokoju i pogardy, jak stał przy maszynie i zielonymi oczami zmuszał żelazne cielsko do wysiłku, jak mówił, że śmierć jest wtedy tragiczna, jeśli nie stoi w obliczu zmartwychwstania. Uśmiałaby się z Bajorka z ruchami uśpionego niedźwiedzia, jak składał numer i stale pełniał ten sam błąd, pisząc żołnierz przez ż na końcu. I Wyszomirski i ten, którego nazwiska nie znał, nasyłany zgóry, z ułożonym numerem, trochę zezowaty. Teraz jednak nie może nic powiedzieć. Zamąciłby cały spokój zapadającego wieczoru.

Elżbieta umilkła ze sprzętami i Porębski usłyszał z drugiego pokoju tubalny głos dziadka i dyszkant syna.

- Kaczka pstra, dziadki ma,
siedzi sobie na kamieniu,
trzyma dudki na ramieniu,
kwa, kwa... i wybuch śmiechu Piotra.

Naraz z całym swoim ciężarem tego wieczoru, zdał się być obcym tym ścianom i ludziom. Zanurzył głowę w miednicy, i odskoczył prychając prawie wesoło.

- Piotruś będzie miał choinkę.Tylko po wigilii.Niespodzianka, rozumiesz - łypnął okiem spod szorstkiego ręcznika.Miał zamiar po kolacji wyskoczyć po porzucony chojak.

Elżbieta zbyt była zajęta kończeniem ostatnich przygotowań,ażeby się temu dziwić.Powiedziała tylko :

- tak Piotruś się cieszył na drzewko.

- Będzie je miał, zapewniam cię - naciągnął marynarkę i przygładziwszy włosy przed lustrem nad maszyną do szycia, wszedł do pokoju. Piotruś poznał kroki, zostawił dziadka i pędem znalazł się przy ojcu. Pierwsze słowa,gdy zawisnął mu na szyji dopytywały się o obiecane drzewko.

- Panie Piotrze - powiedział stawiając go na ziemi - nie wiem, czy coś zbroiłeś, czy byłeś niegrzeczny,aniołek nie chciał ci dać choinki.

Chłopiec zaniemówił.Oczy wzniesione ku ojcu zastygły w przerażeniu. A potem groza przemieniła się w zawód, usta skrzywiły się do płaczu.Porembski nie wytrzymał dłużej tego wzroku.Pochylił głowę. Uciekłby teraz i poprzez setki śledzących go ajentów przebrnąłby śnieg i wrócił z drzewkiem, wręczył go małemu.

Ale Elżbieta zaglądała przez drzwi,już bez fartucha,

- Gdzież jest dziadek, kolacja gotowa.

Piotruś odwrócił się i nim Porembski spostrzegł,wybuchnął donośnym płaczem w drugim pokoju. Podszedł do okna.Nieznacznie odgiął papier.Śnieg łączył niebo z ziemią. Gdzieś sanki rozsypały ciszę drobnym dzwonieniem. Jeszcze nigdy nie odczuł tak głęboko niewywiązania się z zadania.Wiedział,że gdyby tego wieczoru nie było drzewka,straciłby na zawsze syna.Zaufanie podważyłaby nieufność.Piotruś będzie miał drzewko.Napewno.Pobiegnie prosto ulicą,przy której mieszka, potem trzecią przecznica,wie dobrze gdzie rzucił. Znajdzie dziurę w parkanie i spowrotem.Uśmiechnął się przylegając twarzą do szyby. Ale sprawi mu niespodziankę.Oddechem wypalił krążek na zmrożonej szybie.

[illegible] pierwszego wieczoru, w świetle lampy ulicznej smużki

śniegu.Zaufanie.Właśnie traci dziś zaufanie całej [illegible] i ojciec,kiedy mu oznajmił, że pracuje w organizacji,uściskał go, nie powiedział nic, tylko wziął go za ramię, szedł kilka kroków,marszczył brwi,patrzył w oczy, a wreszcie rozczulony ucałował go siarczyście w policzki. Powoli uświadamiał sobie,że będzie musiał odejść od nich, jest już poszukiwany.Widzieli go.Dziasiaj stoi na progu śmierci. Tu pozostać nie może.Musi uciekać,uciekać,jeśli chce do nich kiedykolwiek powrócić. Ten próg jest bardzo szeroki i wąski zarazem. Doznawał, że zaczyna się w nim obawa przed nadejściem ich,ból lęku przed wkroczeniem w obręb jego dni. Do nikogo nie miał żalu,może do siebie,zato, że jest sam w najcięższej chwili i że musi pozostać już sam.Śnieg pada uroczyście,obrócił się obrus biały,Elżbieta wnosi właśnie talerze gorącego barszczu.Wychodzi dziadek,przyciskając Piotra i patrzy zdziwiony na niego. Siadają,przedtem życzą sobie lepszego przyszłego roku, Mówi z okruchem opłatka, szczypie żartobliwie Piotra i dostrzega, że opłatka nie może rozpoznać na obrusie.Jedząc przypomina mu się Wysocki,siedzi pewnie w grubej celi i myśli o nim.Nad ostatnią łyżką barszczu długo zastanawia się i wreszcie połyka,półświadomienie dopuszczając myśl, że spożywa ją za niego,przy stole zasłanym,przy wigilii.

Dziadek jak może zabawia Piotra, który ledwie brodą sięga stołu.Każde nowe danie przyjmuje radosnymi okrzykami jako arcydzieło kuchni Elżbiety i najlepsze kawałki wyrywa zasmuconemu. Porembski widzi jednak dobrze wzrok swego ojca,który go niemo karci za to zapomnienie. Strasznie boli go przepaść jaka się między nimi naraz utworzyła. - Oni nigdy nie zrozumią,że nie potrafiłbym zapomnieć o dziecku, - zdanie myślowe powtarza się ustawicznie, staje się głównym przeżyciem wieczoru, przepadają szpicle niemieccy, noc zimowa, niesprzyjająca i odblask latarni, w których zaostrza się kontur człowieka.

Zaczyna opowiadać o rzeczach obojętnych, ale stale powraca do choinki za parkanem, o której Wysocki powiedział " - piękną wiechę kupiłeś panie Porembski -". Pali jednego papierosa za drugim, aż że-

na zwraca mu uwagę, że pokój tonie w dymie. Nie wie czy oni też wyczu- wają obcość tego wieczoru, co wkradła się we wigilijny nastrój. Żadne nie zaczyna śpiewać, a ostatek łazanek z makiem stygnie pośrodku stołu jakby już nikt nie miał ochoty jeść. Mówi wreszcie do syna, oddalając niepokój :

- Czekałeś Piotrze na pierwszą gwiazdkę ?

Odpowiada dziadek poprawiając włosy malcowi :

- Czekał, czekał, ale dzisiaj niebo chmurne, niema gwiazd.

- Może jeszcze błyśnie - chce zapalić papierosa, ale przypomina sobie upomnienie Elżbiety. Kiwa palcem na Piotra.

- Chodźno tu mały ! Coś ci powiem ! - Piotruś zwolna opuszcza się z krzesła i poważnie podchodzi do ojca. Porembski opiera się na nodze i szepce :

- Dostaniesz drzewko, wiesz, jeszcze dzisiaj.

Piotruś uśmiecha się niedowierzająco, łapie go za klapę marynarki

- Ja ci przyrzekam, daj rękę - drobna dłoń chłopca ginie w jego ręce. Potem podchodzą obydwaj pod okno. Elżbieta zbiera ze stołu, dzia- dek przewraca kartki powieści z dzikiego zachodu. Inna niż zazwyczaj była dzisiaj wigilia.

Śnieg opada bez przerwy. Twarze ojca i syna, zetknięte policzkami szukają gwiazdy. Błyszczy jedynie ulica, a w ukosach świateł śnieg sta- je się materialnym ułomkiem niebios, płynącym na ziemię. Tylko niebo w perspektywie ulicy jaśnieje, niebieszczeje. Powracają. Dziadek czyta, przekrzywił okulary. Piotruś biegnie podzielić się z nim radością. Elżbieta siedzi w kącie, tyłem, wygląda, jakby płakała. Porembski pozna- je, że dzisiejsze popołudnie oddaliło go od tych najbliższych mu osób o życie. Czuje się ze swoją tajemnicą jak przybysz, który swą obecnością zamącił rodzinny zwyczaj. I bardziej jeszcze upewnia się o samotności. A przecież o wiele byłoby mu lżej, gdyby się o wszytkiem dowiedzieli.

Dzwonek łamie ciszę. Porembski ruchem ręki zatrzymuje żonę i idzie przez kuchnię do przedpokoju. Zamyka za sobą drzwi. Na progu widzi dwóch mundurowych niemców.

- Herr Porembski ist da ?

Nie może odpowiedzieć. Zza nich wysuwa się łysy człowieczek, trzyma jego choinkę. Poznaje po zakrzywionym szczycie. Sięga po nią, a człowieczek dziwnie łatwo pozwala ją sobie wyrwać.

- To jest pańskie drzewko - pyta, strzelając oczami i kiwa głową do Niemców. - Tak, to ten - słyszy jak mówi i wchodzą do środka.

- Proszę panów, pozwólcie - wstyd, ale głos mu się łzawi - ja zaniosę to drzewko synkowi i wrócę, zaraz.

Cywil tłumaczy, jeden z Niemców z czerwonym, zmarzniętym nosem, przykłada ręce do uszu, zgadza się, byle krótko trwało.

Porembski wkracza z choinką do pokoju. Elżbieta i dziadek podnoszą ze zdumieniem głowy. Piotruś stoi na palcach pod oknem, odwraca się i spostrzegłwszy ojca biegnie zachwycony z wyciągniętymi rączkami.

- Tatusiu, tatusiu, właśnie błysnęła pierwsza gwiazdka.